

BAJA BONGO W PARKU TWÓRCY PIĘŚNI NARODOWEJ

- Dziękuję. Mecenas Kolman okazał się nadzwyczaj uroczy. Przeszedł moje oczekiwania. Nie myślałem, że aż tak gorąco mnie przyjmie w swej kociej willi - zakpiłem.
- Bo on z kolei jest przyjacielem kotów. Ma Rufusa i puszystą, bardzo słodką syjamkę Princess.
- No proszę. On ma Syjamkę Princess, a ja Filipinkę Nerysse. Trzymamy się Azji, praktycznie rzecz biorąc - ucieszył się.
- Filipinkę też ma. Ale służącą. I ona nie umywa się do pańskiej żony, która jest niezwykle piękna...
- No, myślę. Z brzydką, i do tego Filipinką, to bym się nie wrywał, proszę pana, jak Filip z konopi! Ja lubię ładne suki. I very dynamit. A Azjatki są dynamy. I umieją grzecznie służyć jak Nora - mrugnął do mnie.
- Tak że mecenas Kolman przypadł panu do gustu? - wrócił do pytania.
- Bardzo. Sam urok. Czarujący chłop - odparłem.
- Ja też tak myślę. Dzięki niemu może wyjadę do Polski. Bo on mnie poznał z tym posłem Czubakiem, co był na waszej gali w Casa Lomie, który ma dla mnie duży kontrakt. Inspection nad całym osiedlem kanadyjskich domów. A ja mam experience. Znam wszystkie technical problems...
- I gdzie to osiedle ma być?
- We Wrocławiu. Pokazywał mi plan. Blisko centrum. - Na szczuble gminy - zadrwiłem.
- Gminy Wrocław. Zgadza się - odparł poważnie. - Ten Czubak fine gentleman. Dawał akurat jakieś interview w naszym „Głosie Toronto”. Mówił, że tu były ubek grasuje. Jest teraz wielki journalist. Jakiś Bielski? Zapamiętałem, bo od Bielska-Białej, a ja z Sosnowca, więc moje strony. Zna pan go może?
- Znam.
- Prawda to?!
- Rozgrywka z moją gazetą, panie Wojtku. Bielski jest moim zastępcą. Świetny dziennikarz i bardzo ciekawy człowiek.
- Ach, tak. Sorry. Ja się trzymam z daleka od „Polish Community”, bo tam zawsze piekło, praktycznie rzecz biorąc. Z Polakami, to wie pan, lepiej na dzień dobry i z daleka. Cacy, cacy rodacy, lecz nie do współpracy. Roofer może być, ale nie partner w biznesie. O, no, sir. Never! Never, panie Newerly. Parę razy się sparzyłem i wolę Kanadyjczyków. Always. Z Mark Coldwater nasz team is great. Zawsze zgoda.
- To dobrze.
- Ja całkiem przypadkowo o tym Bielskim usłyszałem - wycofywał się speszony - w związku z tą proposition, bo akurat u niego był ten redaktor „Głosu Toronto” i o tym mówili. No i proszę. Ledwie człowiek wszedł, już wdepnął. A potem dziwią się, że są Polish jokes. Ciężki naród Polacy, bardzo ciężki, praktycznie rzecz biorąc. - Przywołał Norę, bo znów wskoczyła do potoku. - Ten potok byłby całkiem „łajld”, gdyby nie wystawał czasem z trawy „siment” - zauważył.
- Ten potok byłby cały w cemencie, a tu wszędzie byłyby domy, gdyby nie pański imiennik, panie Wojtku - odparłem mu.
- Też Wojtek? - zainteresował się.
- Wojtek Wroński. Naczelnny planista, który tę piękną dolinę ocalił dla naszych psów. Pan by może miał więcej kontraktów, ale my nie spacerowalibyśmy tu z psami - wtrąciłem. Zmilczał tę

uwagę, nie wypytywał już bliżej o swego imiennika Wrońskiego, tylko śledził swą sukę w potoku.

- Okropnie lubi wodę. O, widzisz pan. Ta rzecz mi się podoba. Popatrz pan. Przeczytaj. It is very cute!

Pociągnął mnie do miejsca, z którego bił w górę strumyk czystej, źródlanej wody. Woda spadała do metalowego, okrągłego baseniku wbudowanego w ziemię. Była to pijalnia z wodotryskiem dla psów. Pomysł godny ptasznika z Przylasów. Na mosiężnej pamiątkowej tabliczce było napisane: We dedicate this fountain to mankind most devoted and loyal friends THE DOG. We wish them fun walks, happy times, cool drinks. This clean water is for you and all the little fur people. October 1999. Drink My Loves. Daphne Shick and Family.

- Widzisz pan. To są prawdziwi ludzie. Ta Family Shick. Nazywa się Shick i jest szyk. Tak uhonorować swego psa Willego, mniejszego „frienda” w futrze, to ja podziwiam, praktycznie rzecz biorąc. I po śmierci Nory też jej taką fontannę sprezentuję. Tylko na tym „plejt” napiszę: „Świętej pamięci Nora Szczucka”. Tak, Nora? - poklepał swą sukę. Mój Webster przez ten czas skorzystał i chleptał zimną, źródlaną wodę. Na zakończenie oblizwał się i pokiwał ogonem na dziękuję. Musiał być spragniony. Pomyślałem, że nasz Farmer, jako wierny przyjaciel koni, mógłby tak upamiętnić swoją karą klacz Aleksę.

- Tak że nie wiem, czy dobrze zrobiłbym, jadąc do Polski, proszę pana-rzekł Szczutki.

- Dlaczego?!

- Problem z sukami, praktycznie rzecz biorąc - wskazał Norę. - Ja mogę zabrać, ale Nery będzie się nudzić. Filipinka. Nawet naszej „Filipinki” nie przeczyta.

- To prawda.

- A jak ją tu zostawię, to sam pan rozumie. Nazwisko i instynkt zadziała i Mrs. Suka może mi się puścić. Sexually is very dynamit. A małego filipińskiego lwa mieszańca to ja raczej, panie Newerly, nie chcę. Mimo że kocham zwierzęta, jak pan wie, i należę do organisation „The blessing of animals”. Błogosławię zwierzaki, ale tego aktu Nery bym nie pobłogosławił. Jestem konserwatywny mąż. Prześwięciłbym ją ostro - rzekł ze śmiertelną powagą.

Dziwny ten Szczucki, pomyślałem. Nigdy nie wiadomo, czy on taki Kazimierz Rudzki, i puszcza żarty z kamienną twarzą, czy po prostu nie wie, że żartuje.

W końcu szczęśliwie rozstaliśmy się i ruszyłem w dalszą drogę. Wyszedłem z ogrodu, u którego bramy widniała tablica pamiątkowa, tym razem nie na cześć psa Willego, a patrona tego parku.

Na płycie z brązu widniał napis: Aleksander Muir Memorial Gardens. 1830-1906. Patriot -

Scholar - Composer of our national song The Maple Leaf forever.

Tak więc Aleksander Muir to taki kanadyjski Feliks Nowowiejski, pomyślałem. Zamiast Roty skomponował narodową pieśń Kanady Klonowy liść na zawsze. Pełno w tym parku klonów, więc pieśń pasuje do krajobrazu bardziej niż tekst Konopnickiej o pluciu nam przez Niemców w twarz do dzisiejszej rzeczywistości. Chociaż akurat co do plucia jesteśmy samowystarczalni.

Idąc za wężącym Websterem, dumalem o tym, co powiedział mi przed chwilą Szczucki.

Musiałem przyznać rację Piotrowi. Nasi patrioci puścili wokół niego fontannę smrodu gorszą niż skunks w ogrodzie tej Szwajcarki, co wezwała straż pożarną. Tu straż nic nie pomoże. Znają się chłopcy na tej robocie. „O, kupa!” - jak mawia w takich chwilach moja Marysia. Napaskudzili zdrowo. Urobek jest. W jedną folię tego nie zbierzesz...

Zacząłem wspinać się po stromym zboczu. Webster coś poczuł i ciągnął mnie ostro. Aby za nim nadążyć, dodałem gazu. Za przykładem mego psiego, a teraz lwiego rozmówcy, chcąc wyrzucić

z siebie te smrody cywilizacji, tym razem nie zawyłem jak Indianin na prerii, tylko ryknąłem jak lew z mojego podwórka: - Ech, baja bongo, baja bongo, baja bongo, bongo baja!
I był to w zasadzie jedyny zysk z tego spotkania, praktycznie rzecz biorąc. To odświeżenie jurnej piosenki mojej młodości.